

Za Maćka Szumowskiego "Gazeta Krakowska" była księciem w mieście

Jerzy Sadecki

21 LUTEGO 2015 AKTUALIZACJA: 22 KWIETNIA 2015 00:00

Wszystko co najlepsze w zawodzie dziennikarza mam już za sobą - tak myślałem po wprowadzeniu stanu wojennego, który położył kres "Gazety Krakowskiej" pod redakcją Macieja Szumowskiego. Wspomina Jerzy Sadecki, redaktor naczelny 1990-1994.

I chociaż potem przyszło mi jeszcze przeżyć wiele dobrych chwil w dziennikarstwie, nie zmieniłem zdania. Te 13 miesięcy i 13 dni gazety prowadzonej przez Szumowskiego w latach 1980-81, w czasach tzw. pierwszej "Solidarności", było fantastyczną przygodą i **doświadczeniem**. Z całą pewnością były to najciekawsze i najbardziej twórcze miesiące w mojej osiemnastoletniej pracy w "Krakowskiej".

Gazeta pod kierunkiem Szumowskiego, choć formalnie była organem prasowym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i poddana cenzurze, wywalczyła sobie niezależność, wróciła do korzeni prawdziwego, rzetelnego dziennikarstwa, które koncentrowało się na przekazywaniu czytelnikowi informacji bez względu na to, czy jest wygodna dla władzy czy też nie.

Maciek - bo tak, bez zbędnego dystansu, wszyscy nazywali naczelnego - uczył nas, byśmy wyzbyli się autocenzury i uparcie dążyli do zebrania prawdziwych informacji, zderzali opinie różnych stron konfliktu. Otwarcie przedstawiali racje władzy, jak i "Solidarności" oraz różnych grup społecznych. Dziś brzmi to jak truizm, ale w czasach PRL wcale nie było oczywiste, albo wręcz nie było praktykowane.

Nasz naczelny, wybitny felietonista i reporter telewizyjny, kompletnie zmienił styl redagowania i kierowania piśmem. Zniknęły nudne sprawozdania partyjne i zalecane przez władze materiały agencyjne. Jedynym kryterium były: wartość i aktualność informacji. Okazało się, że można robić pismo atrakcyjne dla czytelnika, odważne, dynamicznie redagowane.

Ileż to wieczorów i nocy Maciek, a często i jego żona, wybitna reporterka Dorota Terakowska, wraz z kolegami z sekretariatu redakcji, siedzieli nad odbitkami kolumn, szlifując tytuły, by lepiej przemawiały do czytelnika, wymieniając newsy na bardziej aktualne.

Naczelny potrafił zatrzymać maszyny

Naczelny znał wartość informacji. Gdy w nocy przysłałem tekst ze strajku w bielskiej Bewelanie, gdzie po raz pierwszy hierarchowie Kościoła podjęli się mediacji, Maciek kazał zatrzymać maszyny i umieścić moją **relację**. Gazeta miała ją rano jako jedyną w kraju.

Podobnie było z groźnym konfliktem w Bydgoszczy, gdzie za plecami milicji "jacyś cywile" pobili działaczy "Solidarności". Szumowski wywalczył w Komitecie partii i w cenzurze druk

mojej relacji zderzonej z wersją PAP i raportem Wojewódzkiej Rady Narodowej. Razem pokazywało to jak na dłoni kłamstwa i manipulacje władzy. Oprócz nas, żadna gazeta codzienna tego nie dała.

"Krakowska" przestała być pismem prowincjonalnym, grupa młodych reporterów, do których się zaliczałem, jeździła po całej Polsce, opisując konflikty i napięcia. Od zagranicznych korespondentów uczyliśmy się np. cierpliwego asystowania negocjacom władzy z "Solidarnością", dociekania prawdy.

Byliśmy wtedy nie tylko pismem szybkiej, wszechstronnej informacji. Na łamach toczyła się bardzo poważna i głęboka debata intelektualistów, ekspertów, polityków o tym, jak naprawiać Polskę. Gazeta codzienna właściwie pełniła też funkcję tygodnika społeczno-politycznego.

Do tych debat bardzo szeroko włączyliśmy czytelników drukując ich opinie, zachęcając do rozmowy. Przez te kilkanaście miesięcy "Krakowska" wspierała zmiany, których domagała się "Solidarność", jak i reformatorskie skrzydło PZPR. Gdy beton partyjny domagał się odwołania Szumowskiego, w jego obronie stawali solidarnościowcy z Huty Lenina.

Kolejki ustawiały się pod kioskami

Takie sposoby pisania i redagowania sprawiły, że gazeta Szumowskiego stała się sensacją ówczesnego [rynku](#) prasowego. Przed kioskami ustawiały się po nią kolejki czytelników, kolejkarze zabierali ją do Warszawy czy Gdańska, gdzie sprzedawali nawet ze stukrotnym przebicciem.

Ciekawi fenomenowi "Krakowskiej", Szumowskiego odwiedzali ambasadorowie, zagraniczni korespondenci. Dostawaliśmy też sygnały, że czytał nas w Watykanie Jan Paweł II. Dziennikarz francuskiego "Le Point" swojej korespondencji z Krakowa dał tytuł "Miasto, którego księciem jest gazeta".

Redakcję odwiedziła też Madeleine Albright, późniejsza sekretarz stanu USA, a wówczas politolożka z Georgetown University. W książce o roli prasy w politycznych zmianach czasu pierwszej "Solidarności", "Krakowskiej" poświęciła osobny rozdział, podobnie jak "Polityce" i "Tygodnikowi Powszechnemu".

A my, dziennikarze tamtej gazety - jak nigdy wcześniej w tym zawodzie - czuliśmy głęboki sens pracy oraz ścisłą więź z czytelnikami, którzy spontanicznie doceniali naszą pracę i odwagę zespołu, często dawali wyrazy sympatii i poparcia. Legitymacja "Krakowskiej" otwierała wszystkie drzwi.

Naszą pracę doceniło w 1986 roku podziemne Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, przyznając zespołowi "Krakowskiej" nagrodę za twórczość w lat 1980-81. Osobno Nagrodę im. Bolesława Prusa dostał Maciej Szumowski, a ja Nagrodę im. Jerzego Zieleńskiego dla młodych reporterów.

Stan wojenny zupełnie zmienił gazetę

Stan wojenny zakończył tę naszą dziennikarską przygodę. Po kilkutygodniowej przerwie, z początkiem 1982 roku wydawanie "GK" zostało wznowione, ale było to inne pismo, bez Szumowskiego i wielu innych osób. Mogłem je obserwować przez kilka lat już nie jako piszący reporter, ale redaktor techniczno-depeszowy, współpracując jednocześnie niejawnie m.in. z Niezależną Agencją Informacyjną, która dostarczała serwisy dla mediów

podziemnych i zagranicznych korespondentów.

Gdy latem 1990 - po rocznej przerwie na pracę w "Tygodniku Solidarność" oraz w "Czasie Krakowskim" - powróciłem do "Gazety Krakowskiej", media właśnie szukały swojego miejsca na wolnym rynku.

Komisja likwidacyjna partyjnego koncernu prasowego RSW "Prasa - Książka - Ruch", przekazała tytuł spółce dziennikarzy i literatów (m.in. związanych z gazetą czasów Szumowskiego), która nabyła go wraz z jednym ze śląskich **banków**. W połowie grudnia, namówiony przez Macieja Szumowskiego i Dorotę Terakowską, na trzy i pół roku zostałem redaktorem naczelnym.

Gazeta asystowała wtedy trudnym latom transformacji ustrojowej w Polsce, tworzenia nowych zasad funkcjonowania mediów i rodzącej się konkurencji. To, co za czasów Maćka Szumowskiego było unikalne na tle prasy partyjnej, teraz stało się codziennością wolnych gazet. Można było pisać otwartym tekstem, przedstawiać różne racje i opinie. Mocno włączyliśmy się w ten nurt zmian. Staraliśmy się tłumaczyć zasady wolnego rynku i kapitalistycznej gospodarki.

Także polityki międzynarodowej i zasad demokratycznego państwa. W prezydenckich wyborach otwarcie poparliśmy Tadeusza Mazowieckiego, a nie Lecha Wałęsę, którego lansował "Czas Krakowski". Doprowadziło to do polemik i starć obu gazet.

Rok zmian i całkiem nowych nazwisk

W tym czasie z "Gazety Krakowskiej" odeszła część dziennikarzy, którzy nadawali jej ton od stanu wojennego po 1989 rok. Na łamach pojawiły się nowe nazwiska, zdobywając doświadczenie i pozycję w wolnych mediach. W kierowaniu dziennikiem wspomagali mnie moi zastępcy: Dorota Terakowska i Lesław Maleszka (zanim przeszedł do "**Gazety** Wyborczej", a potem okazał się byłym agentem SB, czego wcześniej nikt nie wiedział), później Władysław Penar i Leszek Rafalski.

Mam satysfakcję, że wśród wychowanków gazety z tego okresu są m.in. Katarzyna Kolenda-Zaleska, wybitna reporterka TVN i TVN24, Katarzyna Janowska, szefowa TVP Kultura i była naczelna "Przekroju", Anna Szulc, znana reporterka "Newsweeka", Adam Buła, były naczelny "Expressu Wieczornego" i "Kulis", a teraz sekretarz redakcji "Polska The Times". Pierwsze doświadczenia organizacyjne i biznesowe zdobywał u nas obecny dyrektor produkcji TVN Jarosław Potasz.

Dopadł nas raczkujący kapitalizm

W tamtym czasie zadaniem redaktora naczelnego było nie tylko dbanie o jakość tekstów i atrakcyjne dla czytelników redagowanie, inicjowanie akcji społecznych itp. Musiałem się też zajmować mnóstwem spraw związanych z kolportażem, zarządzaniem gazetą jako firmą (trzeba było nauczyć się np. prawa spółek handlowych, w czym wówczas wielu adwokatów jeszcze nie czuło się najmocniej).

Należało szukać inwestorów, bo media rzucone na wolny rynek nie miały kapitału, choćby na zakup komputerów. Tego raczkującego kapitalizmu - często dzikiego - uczyliśmy się na własnej skórze odnosząc sukcesy, ale i popełniając błędy.

"Krakowska" miała szczególnie „pod górkę”. Dziennikarska spółka niefortunnie wzięła sobie za partnera prywatny bank z Katowic, który kupił także kilka innych gazet lokalnych. Najpierw bankierzy obiecywali liczne inwestycje, ale wkrótce okazało się, że sami mają

kłopoty. NBP wprowadził w banku zarząd komisaryczny i o żadnych inwestycjach nie było mowy. Wiele czasu zajęło nam wypłatanie się z zależności od tego partnera z 49 procentami udziałów. Potem udało się pozyskać dla

"Krakowskiej" francuski koncern Hersanta. Po pierwszym okresie harmonijnych relacji, zakupu sprzętu, także ten partner zaczął mieć [kłopoty finansowe](#) (u siebie, we Francji), zrezygnował z budowy obiecanej drukarni i myślał o sprzedaży swych polskich gazet. Już po moim odejściu, Hersant sprzedał udziały w "Krakowskiej" obecnemu wydawcy.